

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.
1/2 " -- 40 "
1/4 " -- 20 "
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Konferencja w Kopenhadze.

Kiedy jeszcze w maju zaczęły się ukazywać w „Gazecie Warszawskiej” artykuły p. Nowaczyńskiego, nawołujące do porozumienia polsko-litewskiego, treścią swą, a jeszcze bardziej tonem odskakujące rażąco od poprzednich wystąpień tego pisarza, — musiało to nasunąć każdemu uważnemu czytelnikowi przypuszczenie, że nagle ta zmiana frontu ze strony głównego organu endecji jest wynikiem jakichś ukrytych planów i zamierzeń, jest posunięciem bynajmniej nie przypadkowym, lecz dokładnie przemyślanym i celowym.

Podkreśliliśmy wówczas z naciskiem doniosłość tego drobnego napozór objawu, wyrażając jednocześnie wątpliwość co do trafności wyboru osoby publicyisty, na którego włożono trudne zadanie urabiania opinii polskiej w kierunku wprost przeciwnym, niż dotąd czynił.

Nie omyliliśmy się, przywiązując wagę do artykułów p. Nowaczyńskiego, bo nie przeszło paru miesięcy, gdy ku ogólnemu zdumieniu ukazała się w pismach wiadomość, że p. Nowaczyński bawi w Kownie, co już musiało dać bardzo dużo do myślenia, zważywszy na dotychczasową niedostępność terenu państwa litewskiego dla zwykłych obywateli polskich, nie mówiąc już o politykach i dziennikarzach.

Wprawdzie urzędowa „Elta” dość niezręcznie tłomaczyła pobyt p. Nowaczyńskiego w Kownie wyjątkowym jego sprytem i umiejętnością wyprowadzenia w pole policji kowieńskiej, ale zdaje się, że nikomu to wyjaśnienie do przekonania nie trafiło. Jakoż niebawem po powrocie p. Nowaczyńskiego z Kowna nadeszła wiadomość, wobec powyższych okoliczności bynajmniej nie stanowiąca niespodzianki, że do Kopenhagi wyjeżdżają delegacje z Warszawy i Kowna, by rozpocząć bezpośrednie rokowania

w sprawie uregulowania wzajemnych stosunków pomiędzy Polską a Litwą, wynikających z konwencji kłajpedzkiej.

W chwili, gdy to piszemy, konferencja w Kopenhadze rozpoczęła już swe obrady po wymianie niezwykle kurtuazyjnych i uprzejmych powitań, dokonanej przez przewodniczących obu delegacji: p. Leona Wasilewskiego z jednej strony oraz p. Siedzikauskasa z drugiej.

Obie strony aż do znudzenia powtarzają swe zapewnienia, że tematem narad będą wyłącznie sprawy ekonomiczne, związane ściśle z konwencją kłajpedzką i że zagadnienia polityczne poruszane nie będą.

Nie brak jednakże sceptyków czy optymistów — to zależy od punktu widzenia, — którzy przypuszczają, że konferencja nie ograniczy się jedynie do omówienia kwestji splawu po Niemnie i że poza kulisami oficjalnych układów handlowo-komunikacyjnych będą się toczyły rozmowy o wiele donioślejsze, dotyczące ogólnego *modus vivendi* sąsiedzkiego. A w każdym razie, że konferencja ta będzie pierwszym krokiem na drodze do dalszego porozumienia i znalezienia wyjścia z obecnej niewyraźnej sytuacji.

Pobyt p. Nowaczyńskiego w Kownie i zainicjowana przezeń akcja prasowa poniekąd potwierdzają to przypuszczenie a nawet nasuwają podejrzenie, że tego rodzaju rozmowy są prowadzone już od pewnego czasu i że nie są one pozbawione pewnych widoków powodzenia.

Rzeczą jest niezmiernie charakterystyczną, że opinja zarówno polska jak litewska bynajmniej nie jest jednolitą w swych zapatrywaniach na fakt rozpoczęcia pertraktacyj.

Gdy prasa kowieńska jednogłośnie domaga się, aby konferencja pod żadnym pozorem nie wykraczała poza obręb zakreślonych sobie oficjalnie zadań, gdy prasa warszawska na ogół z wielkim zadowoleniem wita zapoczątkowanie kopenhaskie, prasa

wileńska przeciwnie zajmuje stanowisko wysoce krytyczne i nieufne — i to w równej mierze tak polska, jak litewska.

„Słowo” i „Kurjer Wileński”, pozostające pod silnym wpływem emigracji kowieńskiej, zainteresowanej nie tyle rozwojem i dobrobytem obu części naszego kraju, ile ustaleniem takiego stanu rzeczy, przy którym emigracja ta miała by możliwość powrotu lub przynajmniej utrzymywania kontaktu ze swymi opuszczonymi siedzibami — z wyraźnym przekąsem traktują rozpoczęte pertraktacje, upatrując w nich zręczny manewr rządu litewskiego, pragnącego kosztem drobnych ustępstw ożywić port Kłajpedzki. Oba powyższe pisma wileńskie uważają, że w razie pomyślnego wyniku rokowań zysk niewątpliwie osiągnie Litwa, Polska zaś jedynie przyczyni się do wzmocnienia ekonomicznego Litwy, nie otrzymując wzajemian żadnych realnych korzyści.

Natomiast prasa litewska, wychodząca w Wilnie, a więc reprezentująca interesy miejscowej ludności litewskiej zapatruje się wprost przeciwnie. Jest ona tego zdania, że Polska otrzymawszy dostęp do Kłajpedy zajmie pozycję niezwykle dogodną i mocną i będzie miała poparcie całego świata kupieckiego, Litwa zaś, domagając się w dalszym ciągu Wilna, będzie oskarżaną przez Polskę i międzynarodowe sfery handlowe o mącenie spokoju i utraci ostatni ze swych atutów w dążeniu do odzyskania Wilna, jakim jest obecnie w jej ręku izolacja komunikacyjna Polski w kierunku Kłajpedy i Libawy. Zdaniem jej więc konferencja w Kopenhadze powinna przede wszystkim rozstrzygnąć sporne kwestje polityczne i terytorjalnie i dopiero zależnie od ich wyniku przystąpić do nawiązania normalnych stosunków handlowych i konsularnych. Wszystko albo nic — takim jest hasło Litwinów wileńskich.

Zdaje się jednakże, że ani rząd polski ani rząd litewski nie mają zamiaru liczyć się ze stanowiskiem malkontentów wileńskich, na co wskazuje okoliczność, że przygotowania do konferencji z obu stron czynione były w największej tajemnicy i że najbardziej tu zainteresowane Wilno dowiedziało się o niej jako o fakcie dokonanym. Nie jest również bez znaczenia szczegół, że inicjatywa rokowań bezpośrednich wyszło z łona ugrupowań, przesiąkniętych najbardziej duchem nacjonalistycznym, co jest dowodem, że w danym wypadku wchodzi w grę interesy materialne, wobec których zawsze i wszędzie nacjonalizm kapituluje.

Dla całości obrazu wypadka przytoczyć jeszcze głos Białorusinów wileńskich, którzy, jak to łatwo zrozumieć, odnoszą się do nawiązania pertraktacji między Polską a Litwą zdecydowanie wrogo

„Zgoda Litwinów, — pisze *Życie Białorusi*” (№ 5) — należy przypuszczać, jest wynikiem nacisku Anglii, która zakupiła od rządu polskiego puszcę Białowieską i inne lasy w Białorusi Zachodniej i pragnie je czempredziej rąbać oraz splawiać Niemnem.

Tym sposobem oddawna już zapowiedziane wyniszczenie głównego bogactwa naturalnego Białorusi Zachodniej — jej lasów, które było wstrzymane wskutek niemożności splawu po Niemnie do morza, obecnie rozpocznie się na wielką skalę. I dopomoże w tem kapitalistom angielskim — rząd bratniego nam narodu litewskiego.

„Przyjaźń — przyjaźnią, a interes — interesem” — powiada polskie przysłowie. Tego zdania, widocznie, są obecnie również... Litwini, którzy tak wiele mówią nam o swej przyjaźni. Przyjaźń ta — w pojęciu polityków litewskich — wygląda, co prawda, dość dziwnie: w imię jej Białorusini powinni swymi rękami wyciągać dla Litwy gorące kasztany z ognia, mówiąc poprostu, dopomagać Litwinom w odzyskaniu od Polski Wilna na rzecz Litwy! Ale, widać, nadzieję na takie rozwiązanie poczyną rząd litewski tracić — i oto widzimy pierwszy krok Litwy w kierunku zbliżenia z Polską. Krok ten, rzecz jasna, jest robiony kosztem narodu białoruskiego”...

Wydaje się nam wszelako, że wszystkie te przewidywania pesymistyczne są pozbawione podstawy. Nie wierzymy, aby jakiegokolwiek rokowania były w stanie kwestję Wilna zruszyć z martwego punktu. Ani Litwa nigdy nie zrezygnuje ze swych pretensyj do dawnej stolicy Gedyminowej, ani Polska dobrowolnie nie zgodzi się na tym punkcie na żadne ustępstwa. Tylko wypadki zewnętrzne mogą zmienić status quo ante. Nikt jednak nie może dziś przewidzieć, czy i kiedy te wypadki nastąpią. A życie ma swoje wymagania, których bezkarnie zapoznawać nie wolno.

Mur izolacyjny między Litwą a Polską obu państwom wyrządza niepomierne szkody. Szczególniej daje się on we znaki Wileńszczyźnie. Próbę usunięcia tych *nikomu niepotrzebnych i do niczego nie prowadzących trudności* należy powitać z uznaniem. Sądzimy, że umowa w sprawie tranzytu do Kłajpedy pociągnie za sobą dalsze konsekwencje i doprowadzi do podjęcia stosunków handlowych i konsularnych wogóle, a może nawet dyplomatycznych. Nie przesądzą one w najmniejszej mierze zatargu polsko-litewskiego o Wilno. Niemcy, ani na chwilę nie wyrzekły się swych dążeń do odzyskania Gdańska i Korytarza pomorskiego, co nie przeszkadza im jednakże utrzymywać normalne stosunki międzynarodowe z Polską. Polityka swoją drogą, a handel — swoją.

Pod tym kątem jedynie należy się zapatrywać na rozmowy w Kopenhadze.

Ewolucja czy błędzenie poomacku?

Od roku 1922 t. j. od chwili wyborów do Sejmu w Warszawie, wielokrotnie pisano zarówno w prasie „mniejszościowej” jak i polskiej, krajowej i niekrajowej o znaczeniu tego faktu dla, specjalnie może już, Białorusinów. Chciałbym się zatrzymać trochę nad

pewnemi, nowemi momentami w życiu przedewszystkiem politycznym białoruskiem (bo uwzględniwszy ścisłą łączność wszystkich poczynań, musimy się zgodzić, że nowe momenty już wywierają, a przynajmniej mogą wywierać swój wpływ na całość życia).

Wybory u nas były ani lepsze ani gorsze, niż na innych terenach państwa. Zbytniego przygotowania, wyrobienia, nie było i u nas. Jedynie hasła narodowościowe, wysunięte przez Centralny Komitet Wyborczy Białoruski, dawały możność zorientowania się masom dla odróżnienia swoich i innych mniej lub bardziej „swoich”. Pamiętanie o tem jest konieczne, bo przecież to najbardziej miało wpływ na taki a nie inny skład późniejszego przedstawicielstwa białoruskiego. A więc do wyborów szli wszyscy, obiecując wszystko, a nawet o ile to możliwe, więcej niż wszystko. To było tak żarzącym, że nawet „osemka” zdobyła się na proklamacje po białorusku i rosyjsku i na, mgliste coprawda, enuncjacje co do reformy rolnej. Agitatorzy białoruscy obiecywali nawet mniej, byli bardziej bojaźliwi i pomimo to wszystko dużą względnie ilość wybranych posłów można objaśnić tylko oddźwiękiem pośród wyborców hasła narodowościowych a ponad to pewnemi odruchami gromady ludzkiej, które nie zawsze dają się wytłumaczyć w płaszczynie rozumowania.

Reprezentanci ludu białoruskiego wyłonili się na widowię polityczną często niespodzianie dla siebie i dla sfer kierujących polityką wyborczą. Pierwszy zjazd posłów i senatorów wspólnie z najbardziej czynnymi wyborcami, przeszedł w zgodzie jaknajlepszej. Nie było bowiem żadnych danych do nieporozumień, okres wyborczy zbyt krótki nie stworzył precedensów do różnic jakichkolwiek; wszystko miało być w przyszłości. A przyszłość przy bliższym wejściu, pomimo świeżego zwycięstwa, ciemna być się wydawała. Brakowało ścisłego programu na gruncie sejmu, jak również i pracy realnej na wsi pośród wyborców. Nie zdawano w onych chwilach sobie sprawy, gdzie ma się znaleźć punkt ciężkości, czy w gmachu sejmowym czy też na wsi. Bodaj że zbyt dokładnie sobie tego nie uprzytomniono, jak również i tego, że postawienie samego celu nie wystarczy nigdy, i że ten sam cel zależnie od okoliczności może wymagać środków rozmaitych.

A więc klub poselski, formalnie zorganizowany z przydyjmem na czele, stanął do pracy nie zementowany, nie skonsolidowany dostatecznie i bez wyraźniejszych nawet wytycznych na najbliższą przyszłość. I nie była to wina każdego z poszczególnych członków klubu, przyczyna znowuż była jakby gdzieś poza nimi. Dwa te wielkie braki*) zaczynają się odzywać wkrótce i to tak mocno, że obserwując zewnątrz widzimy ciągle posunięcia to naprzód, to w tył, widzimy fakt, że okres trzech lat zaledwie wstecz wydaje się nam być gdzieś daleko odległym, należącym już do historii a nie teraźniejszości.

Pierwsze chwile pracy poselskiej, kiedy to się wydawało, że na skutek wyniku samych wyborów nastąpi zmiana ustosunkowania się rządu do sprawy białoruskiej, musiały szybko minąć. Polityka twardej ręki dawała się coraz mocniej odczuwać, pomimo rozmaitych kombinacji rządowych. W tym jedynym wypadku niemal — ciągłość polityki rządowej była zachowywaną. A było to skutkiem, jak twierdzą złośliwi, że ostatecznie nie Warszawa rządziła naszym krajem, lecz była tylko stale inspirowaną przez pewne koterje polskie na „Kresach”. A i posuwanie się

początkowo na nieznanym terenie było trudnem niezbyt doświadczonym parlamentarzystom. Bo zbyt się jeszcze wierzyło słowom i obietnicom, pochodzącym czy to od ministrów czy od innych dygnitarzy Rzeczypospolitej.

Oczywiście okres był to przemijający, dlatego właśnie że ufundowany był tylko na dezorientacji. Przedewszystkiem opinia społeczna (zbyt słabo wyrażana i określana i w innych wypadkach w społeczeństwie białoruskiem, tem niemniej posiadająca zawsze siłę właściwą) i codzienne stykanie się z realnem życiem samych posłów — zmuszały do wydobycia się z niewyraźności i stanięcia na wyraźnym gruncie zakreślającym, przynajmniej na bliższą metę, metodę pracy i taktyki ogólnej. Przeświadczenie owe, które nastąpiło dopiero po kilkunastomiesięcznem szamotaniu się i w Sejmie i w urzędach większych i mniejszych, znalazło swoje odbicie prawie że w oficjalnem oświadczeniu, bo ogłoszonym w półurzędowem piśmie klubu poselskiego. Oświadczenie wspomniane, po otwartem przedstawieniu sytuacji, stwierdza, że przy warunkach pracy istniejących w Sejmie, Klub żadnych konkretnych wyników w swoich poczynaniach nie osiągnie. Dlatego też należy przenieść całą pracę na wieś i wykorzystać w tej pracy to, co daje mandat poselski, a mianowicie jakie takie bezpieczeństwo osobiste przed samowolą administracji. Naturalnie obok tego należy wykorzystać zawsze trybunę sejmową przynajmniej już dla zadokumentowania swego stanowiska, a więc czysto dla względów teoretycznych.

W ten sposób zdobyto się na coś wyraźniejszego. Na deklarację, brzmiącą mniej więcej w podobny sposób, zapatrywać się można z dwóch stron, a właściwie odszukać w niej dwie kwestje: 1) istotne pobudki, które wpłynęły na, takie sformułowanie stanowiska, 2) skutki, które zamierzało się osiągnąć, stając na tej nowej drodze, czy wogóle jakiejś drodze, o ile uważać że przedtem właściwie żadnej drogi nie było a tylko błądzenie.

Co do pobudek — to rzeczywiście znaleźli się niedowierzający szczerości wielu przesłanek, których wnioskiem było brzmienie deklaracji. Raczej poszukiwano tłumaczenia w czem innym zupełnie — a to w zupełnej słabości Klubu i absolutnej niezdolności jego do żadnej pracy parlamentarnej. I dlatego deklaracja miała być umyciem rąk od winy wszelkiej i służyć dokumentem uniewinniającym i oczyszczającym posłów przed krajem. Podnosi się nawet cały szereg faktów, gdzie niby klub, o ileby wogóle był zdolny do czegoś, musiałby zdobyć realne korzyści dla kraju. Stawia się cały szereg zarzutów, zmierzających już bezpośrednio przeciwko poszczególnym osobom z posłów. I jedne i drugie zarzuty dość trudno do sprawdzenia, poważnie je przeto traktować dość trudno, natomiast nasuwają się zarzuty z innej strony, gdy chodzi o wyniki pracy praktycznej, podjętej zgodnie ze stanowiskiem, zajętem w deklaracji. Wszyscy przecież posłowie znali doskonale administrację i policję kresową, mieli możność zetknięcia się częstszego w czasie swoich debiutów poselskich i można dość poważnie powątpiewać, czy wierzyli oni sami, aby praca, gdzie oni byli bronieni mandatem, z wypływającą z niego nietykalnością, ale gdzie natychmiast po ich wyjeździe policja przeprowadzała rewizje, nakładała kary i spisywała protokoły, aby ta praca mogła dać jakoweś konkretne rezultaty. Zresztą chcieli iść do masy, a przecież masie trzeba nieść hasła wyraźne, proste, wskazujące cele li tylko

*) brak konsolidacji i wyrazistego programu

najbliższe i drogi do nich prowadzące jaknajkrótszel. A czyż to mogli oni uczynić? Nie, bo u wielu samych wszystko było w stadium dojrzwania. I rola ich musiała się z konieczności ograniczyć i zwięzić do zwoływania wieców sprawozdawczych, wysłuchania bied najrozmaitszych, interpelowania na miejscu, a w najgorszych już razach zgłaszania wniosków ciągłych w Sejmie. I wnioski i interpelacje płynęły jedne za drugimi, w ilości rzeczywiście ogromnej, ale skutek?! Żaden, lub prawie żaden. A przecież było to do przewidzenia...

Sytuacja więc fatalnie trudna. Związane ręce wszędzie. Każdy błąd w życiu mści się okrutnie. Szukanie kontaktu z politycznymi ugrupowaniami polskimi z góry musiało być skazane na fiasco, bo z żadnym właściwie nie było wspólnej platformy, na której by bez zastrzeżeń można było się zejść. Mogły być tworzone kompromisy, ale nawet i tych prób zaniechano. Szło się siłą inercji wspólnym frontem „mniejszościowym“, często bez przekonania, jakby tradycyjnie tylko. Ale życie w żadnym wypadku nie znosi niewyraźności i dlatego front ten powoli zaczyna się zarysowywać i pękać. Żydzi ostatecznie odchodzą i trudno czynić im jakieś wyrzuty. Człowiek, który wie co robi i do czego zmierza, zawsze musi mieć rację. I nic przeto dziwnego, że w łonie klubu rozpoczyna się szukanie wyjścia... „Krynica“ z r. 1925 pisze: „Kaźda idea, kaźda organizacja, po pewnym czasie swego istnienia, wymaga rewizji i rozejrzenia się. Inaczej bowiem idea kaźda, czy też organizacja wyczerpuje się i staje się niezdolną do życia. Gdzie zastój — tam niema życia, tam śmierć. A życie to ciągła walka o jutro jaśniejsze, to ciągła podróż wciąż naprzód i naprzód“.

A przeto i dla sprawy białoruskiej, która w okresie wojny i rewolucji, nabrała wielkiego, często ponad jej siły rozpędu, przyszła pora rewizji i dokładniejszego zdania sprawy z sytuacji. Różne możliwości dla narodu białoruskiego, niesione falami wojny i rewolucji, już dawno minęły i ten naród stoi dzisiaj przed zwyczajną, szarą rzeczywistością. Nie ulega wątpliwości, że ta rzeczywistość jest dlań nieprzyjemną, ale liczyć się z nią trzeba i należy prosto spojrzeć jej w oczy. Słowem, sprawa białoruska jako taka, a więc i polityczna i kulturalna i społeczna, musi się dopasować do dzisiejszej rzeczywistości życiowej, w jakiej znalazł się naród białoruski. Niezbędną jest rewizja sprawy białoruskiej, przynajmniej w naszym kraju. Białorusini na ogół, zdaje się, odczuwają to i rozumieją. Świadczą o tem nawet rozmaite, na oczach naszych zjawiające się i znikające „Hramadziańskija Sabrańni“ p. Wałęjszy, „Czasowe Rady“ p. Pawlukiewicz i „Praświety“ p. Kościewicz. I chociaż poważnie tych organizacji ani traktowało się, ani traktuje, to jednakże sam fakt, że takowe się zjawiają w życiu białoruskiem, mówi, że w życiu tem nie wszystko idzie jak trzeba, że coś się psuje. Że białoruska sprawa wymaga rewizji, odszukania nowych dróg — to opinia jednego z kierunków myśli politycznej w okresie dość daleko posuniętego różniczkowania się wewnętrznego.

W tym samym mniej więcej czasie „Bielaruskaja Dola“, organ innego poważnego ugrupowania pisze: „Trzeba zdać jasno sobie z tego sprawę, że białoruskie polityczne przedstawicielstwo — Biały Klub Poselski — zawiera w swoim składzie socjalnie element nie jednolity. I o ile w sprawach czysto narodowościowych w Klubie zawsze był jedyny, zgodny front, to o tyle front ten jest niemożliwy, jeśli wypadnie wybie-

rać miejsce w coraz to bardziej rozpalającej się walce społecznej w Polsce. Nie zdaje się nam, by pośród posłów naszych były elementy, któreby zajęły wrogię stanowisko do mas pracujących Polski, rozpoczynających walkę ze „swojską“ burżuazją o władzę polityczną. Natomiast jest prawdopodobnem, że nie wszystkie grupy i kierunki, reprezentowane w Klubie, potrafiłyby szczerze i otwarcie stanąć wraz z masami pracującymi Polski, aby połączyć swoją sprawę białoruską z przyszłym zwycięstwem tych mas nad burżuazją. Współczesne warunki, coraz bardziej ostrej walki klasowej, znajdują swoje odzwierciedlenie w przedstawicielstwie parlamentarnem białoruskiem, zarysowując dwa kierunki: jeden — aktywny — walczący, drugi — bierny albo neutralny.

Życie jest mocniejsze od sztucznych politycznych kombinacyj. I to życie, które ongiś zmusiło w swoim czasie wszystkie ugrupowania białoruskie pójść jednym frontem narodowym obecnie wymaga rewizji ówczesnego stanowiska, wymaga rozwiązania pytania o możliwości, czy niemożliwości wspólnego frontu w naszym przedstawicielstwie parlamentarnem“...

Widzimy, że obydwa kierunki polityczne, na które rozpoczęła rozpadać się większość członków klubu, zgadzają się, że stan dotychczasowy (bez wyluszczenia zresztą racyj przemawiających dobitnie, bo przecież walka klas w Polsce była i przed kilku laty tak samo ostra jak i dzisiaj) nadal jest niemożliwy. I podczas gdy jeden kierunek widzi wyjście w zespoleniu się z proletariatem polskim, idącym pod egidą komunistów, bo o P. P. S. mowy żadnej niema, to drugi kierunek inne środki podaje: „Według nas wyjście z obecnych przestarzałych warunków, w których się znalazł i Klub Biały i wogóle ruch cały, jedynie się znajduje w organizacji własnej opartej o szerokie masy pracującego włościaństwa. Inaczej mówiąc — uważamy, że odnowienie ruchu białoruskiego, który rozumiemy jako wyzwolenie narodu białoruskiego politycznie, kulturalnie i socjalnie, znajdzie swój wyraz w *Białoruskim włościańskim klasowym związku*, organizacja którego niezwłocznie też musi nastąpić. I tylko taki Związek Włościaństwa białoruskiego, jako organizacja całkowicie niezależna, mógłby w dalszej swojej pracy, w łączności przedewszystkiem z włościaństwem litewskim i ukraińskim, a następnie i z polskim — walczyć o swoje całkowite wyzwolenie. Dopóki zaś niema podobnej organizacji włościańskiej, dopóty wszelkie próby szukania wspólnej drogi z pracującymi masami polskimi nie dadzą pożądaných wyników“ (Krynica № 18).

Ten mocny nacisk, który się kładzie na słowach „własny“ „swoj“ i t. d. w przytoczonym powyżej wstępie, ma przedewszystkiem na względzie przewidywaną od szeregu miesięcy secesję z Klubu białego do szeregów N. P. Ch. czy też frakcji komunistycznej. I w godny uwagi sposób „Krynica“ uzasadniała to swoje stanowisko: „Myśląc logicznie, za przesłankami „Doli Białej“ musimy dojść do wniosku, że masy włościańskie białoruskie w Polsce muszą losy swoje złączyć z losem takich że mas polskich reprezentowanych bądź przez N.P.Ch. (Niezależna Partja Chłopska), bądź przez komunistów, bowiem ani o P. P. S., a ni też o kim innym mowy żadnej niema. Ale tak czy inaczej łączyć koleje włościaństwa białoruskiego z N. P. Ch., ośrodek którego stanowi kilku Białorusinów, którzy zdeзорjentowali się we własnej białoruskiej ideologii, znaczyłoby to samo, co się zgodzić z myślą zupełnego bankructwa niepodległościowego ruchu białoruskiego w Polsce,

a przecież sojusz podobny realnych korzyści nam nie obiecuje, boć N. P. Ch. nie jest żadną poważną siłą. Skierowanie zaś kroków włościactwa białoruskiego na drogę komunizmu polskiego może jeszcze dobitniejszym byłoby dowodem zwyrodnienia zdrowej myśli białoruskiej, która nie byłaby zdolną do utworzenia własnego komunizmu, chociażby dla tych, którzy pragną go i uważają za potrzebny”.

I niewiele czasu upłynęło, od chwili gdy słowa cytowane były wypowiedziane, a secesja w klubie stała się faktem. Czterej posłowie secesjonści utworzyli nową frakcję p.n. „Białoruska włościactwo-robotnicza gromada”. Czyli, że klub ruszył z miejsca szukając nowych dróg i podczas gdy „B. wł.-r gromada” poszła w kierunku komunizmu, bo chociaż programu swego nie podała do wiadomości, tem niemniej łączność jej z komunizmami uważana jest za bardzo bliską, — reszta posłów na razie milczy, kontynuując dawniejszą politykę. Zdaje się, że jednak stan ten długotrwałym nie będzie.

Narazie nie można orzec o tych nowych próbach, czy to już byłoby ostateczne ułożenie się frontu politycznego białoruskiego, tembardziej że i w teorii zasada „nic stałego, wszystko płynie” ma obecnie wielu swoich zwolenników.

Dryhwicz.

Parę słów wytłumaczenia.

Dyplomacja, — jako metoda wiodąca do danego celu, — jest to sztuka działania politycznego, którą lekceważą narody młode, albo stronnictwa skrajne. — Pierwsze, dla niedoświadczenia swego, drugie, dla apriorycznej wiary w doskonałość swego programu, albo — gdy posiadają siłę. Bezwzględność jednych i drugich wyklucza umiar i powściągliwość w działaniu, więc odrzuca *dyplomację*, która jest dążeniem do przeprowadzenia *swego*, bez ostrych starć i wstrząśnień.

Z bezwzględności wynika nieunikniona „wojna wszystkich ze wszystkimi” i obustronne straty.

Natomiast dyplomacji używają z powodzeniem narody historycznie doświadczone, wyrobione wiekami, lub społeczeństwa w wyższym stopniu dojrzałe, dążące do celu *z najmniejszymi stratami*, albo ludzie ideału, pragnący go wszczepić drugiemu na drodze przekonywania. Dlatego dyplomacja uczciwa, godna praktykowania w życiu ludzi i narodów, kiedy walczy z przeciwnikiem — a tembardziej z takim, z którym może i chce się pogodzić, oszczędza go, nie drażni jego stron czułych i drażliwych, przemilcza co nie jest jeszcze do wypowiedzenia na czasie, nie pardonując przeciwnikowi *w niczem, coby odwodziło od wytkniętego celu* wybiera drogi do tego celu dla niego najłatwiejsze; dyplomacja uczciwa nie kłamie nigdy, ale umie milczeć, stosownie do starożytnej rady: „mowa jest srebrem a milczenie złotem” — a to odnośnie do kwestyj na razie nierozwiązalnych, lub gdy wysokich stopni nie można przeskoczyć odrazu.

Ta metoda służyła mi w krytycznym szkicu: „Idea Jagiellońska a polityka kresowa”, przeznaczonym dla ogółu polskiego głównie w Królestwie i Warszawie, o którym wszak wiadomo, że — jest hipertroficznie nacjonalizmem przejęty; a jednak i w tej oględnej formie podane poglądy, które mogły być tamże przyjęte przez niejednych, okazały się za radykalne dla polskiej prasy narodowej i rzecz nie

mogła być drukowana w pismach warszawskich. Ostatecznie, przy dzisiejszym nastroju, dziwić się temu trudno.

Dlaczego jednak Sz. Redakcja „Przeglądu Wileńskiego”, przyjąwszy na swoje łamy rzecz tak przeznaczoną, nie odczytała „między wierszami” głębokich przekonań piszącej i pomówiła mi np. (w dopiskach red.) o wyznaczanie w mych postulatach narodowych dla Litwy i Rusi: „zupełnej zależności w ich stosunku do Polski”, (!) a troskę „o dobro i interes państwa polskiego”, podkreśliła jako główne zadanie mego artykułu? To było dla mnie mocną niespodzianką. (Nie mogę też nie podnieść zecerskiej psoty, która z *Unji religijnej* w artykule moim, zrobiła *Unję „narodową”*).

Mam uczucie, iż żaden szczery Litwin, ani szczery Białorusin, któremu kiedykolwiek wpadły w ręce moje przyczynki historyczne lub publicystyczne¹⁾, nie zarzuci mi nigdy, aby interes Litwy a wnet po niej Białorusi, nie był mi pierwszym przed wszystkimi.

Jeśli twierdzę, że Idea Jagiellońska może odkwitnąć nie w starych, ale tylko w *nowych formach*, czy ta *nowa* nie może objąć w sobie, w swym dziejowym rozwoju, całą niepodległą Litwę ze stolicą Wilnem?

Jeśli twierdzę, że młodociana Białoruś będąca w granicach polskich — potrzebuje dziś silnej obrony wojskowej od bolszewji, a wewnątrz, *autonomji oświatowej i gospodarczej* — czy te pierwsze stopnie wykluczają wyższe szczeble drabiny, aż do szczytu; marzonego przez każdy rozwinięty naród, szczególnie taki, który rozdarła swoje części musi złączyć w całość?

Ale do takich szczytów możemy dojść wszyscy tylko przez naszą odwieczną spółkę, spółkę z Zachodem i z Polską, i póki się nie porozumiemy — Polacy, Litwini i Krywicze, na tej ogromnej przez nas posiadanej ziemi — *nie w jednolitości panowania* (jednego pierwiastku nad drugim), ale *w jednolitości dążeń i celów* (dla wszystkich), póty nie postawimy niezłamanej tamy na zalew mongolskiego morza, póty nie zdobędziemy słonecznej atmosfery pokoju — dla rozwoju nas wszystkich i każdego narodu z osobna, na własnej ojczystej ziemi.

Związek tylko silny, wsparty na potężnej kulturalnej i politycznej tradycji, odnowiony w tem, w czem odnowienie jej konieczne *i tak jak postęp nasz wymaga*, związek wywołany palącą potrzebą wszystkich, może nas uratować od pochłonięcia przez owe dwa kolosy, od wieków następujące na nas od wschodu i zachodu, albo uchronić nas od długich i ciężkich cierpień, jakie już znamy. A skoro w związku tym największą najsilniejszą, najswobodniejszą i najlekko myślniejszą jest Polska — winniśmy jej przypominać niezmordowanie co, winna narodom bratnim, i od spełnienia jakich zadań jej własne bezpieczeństwo zależy. Takie ostrzeżenia, wcale nie zwalniają nas od żarliwej pracy na wszelkich polach nad sobą samymi.

Inny zarzut Sz. Redakcji: „*rażącego anachronizmu* (w moim punkcie widzenia na kwestje społeczne i wyznaniowe”, nasuwa mi następne uwagi: Świat to bardzo wielki kwestje społeczne i religijne; większy daleko od tezy narodowej, której dotknęłam;

¹⁾ *Historja Litwy dla młodzieży* (5 wydań, po polsku, po litawsku i po francusku). *Kartki polityczne*, 1907. *Kartki krajowe*, 1913 etc.

świat o punktach widzenia, niestety, bardzo różnych i licznych a sporach niezliczonych!

Jeśli pogląd mój w tych kwestjach ma być *a-na-chroniczny*, przyjmuję to określenie dosłownie; staram się bowiem rzeczywiście patrzeć na te kwestje z punktu widzenia, który *nie zna czasów ani czasu*, to jest pod kątem wieczności — chrześcijańskim. Nie mnożąc sporów, zachowuję przekonania moje i zarzutu dalej nie podnoszę, gdyż nie o polemikę mi chodzi.

Szło mi o stwierdzenie, że szerokie i dalekie a wcale niezakończone ramy w rozwoju krajów i narodów naszych stawia wielka idea Jagiellońska i postęp ludzkości.

To zaczęta pieśń, którą tylko przyszłość dopiewał!

Ale przyszłość, w najwালniejszej części, zbudujemy — *my sami*.

Konstancja Skirmuntt.

(Przyp. Red.) Ze swej strony winniśmy też parę słów wyjaśnienia. Nie mieliśmy nigdy zamiaru kwestjonowania stanowiska krajowego Sz. Autorki. Ale sama autorka powiada wyraźnie, że artykuł jej miał charakter *dypłomatyczny* i był przeznaczony dla czynników miarodajnych w Polsce. Ponieważ zaś nasze pismo nie ma pretensji do wpływania na opinie sfer rządzących i kierowniczych w państwie polskim, a ma o wiele skromniejsze cele i zadania, nie mogliśmy pozostawić wywodów Sz. Autorki bez zastężeń i komentarzy, aby ten i ów czytelnik, nie orjentujący się w metodach dypłomatycznych, nie zrozumiał opacznie intencji artykułu i nie posądził nas o odchylenie się od dotychczasowej linii.

Dowody.

Verba volant, scripta manent.

Z powodu mego artykułu p. t. „W obronie czci biskupiej” w № 30 „Przeglądu Katolickiego” zaatakowała mnie ostro prasa endecka, a „Dz. Wileński” (№№ 180 i 193) wprost zagroził mi prokuratorją. Najtańszy to sposób polemiki. Natomiast rzeczowo nikt mi nie odpowiedział.

Gwoli uspokojenia opinii publicznej, oświadczam nasamprzód co do mojej osoby, jeśli ona kogo obchodzi 1) jestem z urodzenia szlachcicem; 2) dla Polski pracuję podług sił i możliwości, — szereg szkół w diasporze Dziśnieńskiej zawdzięcza mnie swój początek (przeważnie z lat wojny z bolszewikami); 3) w życiu politycznym i ruchu narodowościowym, jako duszpasterz, żadnego udziału nie biore. Nie poruszałem też sprawy obrony czci biskupiej pod politycznym, czy narodowościowym kątem widzenia, — pisałem o niej z punktu widzenia tylko kościelnego.

Że ocena endecji z tego właśnie punktu, nie była ani przesadna, ani złośliwa, mamy na to dowody. Drobna część tych, wyjęta z bogatego materiału wynurzeń endeckich w kwestji kościelnej, pozwałam sobie tutaj przytoczyć:

1. „Kościół (w ziemi Wileńskiej) od kilku lat już stał się *narzędziem walki politycznej* w ręku fanatycznego Litwina i wroga polskości, ks. bpa Matulewicz”.

„... za sprawą generała Ludendorfa oraz biskupa kolońskiego, kard. Hartmanna, posiadającego w Rzymie olbrzymie wpływy, narzucono nam *wbrew*

woli ludności, wbrew woli całego duchowieństwa... biskupa Litwina”.

„Ks. Matulewicz... umiał do czasu *doskonale maskować się tak*, iż potrafił sobie zaskarbić zaufanie niektórych wpływowych księży warszawskich. Objąwszy stolicę wileńską, ks. biskup nie zrzuci od razu tej maski..., drogą jednak cichej obstrukcji *umie z punktu sparalizować dobroczynny wpływ Kościoła*”.

„Biskup, osobiście prowadząc życie *absolutnie bezczynne, umie zręcznie paraliżować* inicjatywę podwładnego sobie duchowieństwa”.

„Typ księdza Białorusina nieznanym był absolutnie przed ks. Matulewiczem, *on go stworzył* z elementów najniebezpieczniejszych, demagogicznych, podszytych bolszewizmem”.

(Rzeczpospolita, Wyd. War. 1921, № 80).

2. „Jeśli kto, zamiast szczerze i duszą całą dbać o dobro i zbawienie swych owieczek, uprawia politykę ku *wielkiemu zgorzeniu wiernych, ku upadkowi wiary*, to przedewszystkiem nasza władza biskupia”.

(Rzeczpospolita, Wyd. Wil. 1921, № 59).

3. „Ze swej strony władza duchowna, zamiast łagodzić, *podsycała niesnaski*”.

(Dziennik Wil. 1923, № 216).

4. „Rząd nasz, przy pomocy swego przedstawiciela w Rzymie, mógłby wreszcie przedstawić sprawę jasno i stanowczo, by nareszcie kres położyć stosunkom, które powszechnie uważane są za nieznośne, a które zbyt długo przeciągają się z niepowetowaną szkodą nie tylko dla Polski, ale i *dla wiary katolickiej*”.

(Dz. Wil. 1923, № 20.IX).

5. „Do czego doprowadzają obecne rządy kościelne w diecezji wileńskiej, o tem świadczy następująca kartka z martyrologii wiernego ludu polskiego na kresach” (Następuje opis zamknięcia kościoła w Raduniu) i dalej: „Od pewnego czasu kręci się po wsiach naszych spora ilość baptystów..., korzystając ze stanu, jaki panuje w parafji raduńskiej... obrali sobie za główny teren swej akcji tę okolicę... W tych dniach do starosty miejscowego zgłosiła się delegacja... z prośbą, by im oddano kościół, oni zaś odrzuceni przez biskupa, zmuszeni są *zerwać stosunek z dotychczasową zwierzchnością kościelną i sami sobie wybrać księdza*. Oczywiście mowa tu być może tylko o duchownym baptyście i jeśli nie nastąpi radykalna zmiana w najbliższym czasie, jeśli kościół nadal będzie nadużywany do celów polityki litewskiej czy białoruskiej, *doczekamy się rychło tego, iż jedną parafją po drugiej zacznie odpadać od katolicyzmu*”.

(Gazeta Warsz. 1924, 16.VIII. Analogiczne o Jodach, par. Borodzienicze; Dziennik Wil. 1924, № 186 i 1925, № 58).

6. „Tak więc na wstępie czytamy, przyznanie się ks. Bokszczanina do tego, iż przyjął na siebie misję *dla każdego Polaka w najwyższym stopniu niesympatyczną ogłoszenia* (w kościele raduńskim) *za rządzenia władz kościelnych i zachęty wiernych, aby się do takowego zastosowali*”.

(Dz. Wil. 1924, 23.VIII).

7. „Najgorzej przedstawiało się stanowisko duchowieństwa katolickiego, podległego J. E. ks. bp. Matulewiczowi, które widocznie idąc w myśl życzeń swego biskupa, nigdzie nie witało przedstawiciela

władz Rzeczypospolitej w sposób uroczysty i w szatach kościelnych... i tę szkodliwą interpretację niejasnych przepisów kościelnych co do sposobu witań wojewody, należy zapisać na kartę wpływów Kurji biskupiej”.

(Dz. Wil. 1925, № 109).

8. „Z całej tej sprawy wynika, że zgorzenie w Żodziszkach i polityka w kościele nie znalazły potępienia w oczach biskupa Litwina i *pozorne jego zakazy* wcale nie dążyły do istotnego przerwania agitacji antypaństwowej”.

(Rzeczpospolita, 1925, № 10).

9. „... bp. Matulewicz, nie mając widocznie dostatecznego zaufania do seminarjum wileńskiego, założył filjałę tego seminarjum w Kownie... jak widać z rubryceli kształci się tam obecnie 18-tu młodzieńców, b. uczniów seminarjum wileńskiego, po części są to wypędki, wydalenia z tego seminarjum bądź to dla braku zdolności lub z innych *natury moralnej powodów*, po części zaś młodzieńcy, którzy odznaczali się tu wielką gorliwością w duchu litewskim i dlatego jako materiał na przyszłych „działaczy” wybrani zostali przez pasterza i wysłani na dokończenie do Kowna”.

(Gaz. Warsz. 1925, № 81).

10. „Rozwija on (artykuł „Ostatnie wysiłki bpa Matulewicza) w swej obronie niezwykle energiczną akcję. Tak więc niezbyt dawno zwołano zjazd dziekanów djecezji, na którym ks. biskup zaproponował ni mniej ni więcej jak ustanowienie biura prasowego ku obronie biskupa przed „napaściami” polskiej prasy nacjonalistycznej. Projekt ten nie zyskał jednak poparcia większości, ks. biskup nie skapitulował jednak i oto z jego ramienia objeżdżają obecnie oddani mu dziekani poszczególne parafje”.

(Dz. Wil. 1925, № 175 już po rezygnacji bpa).

11. „Że zajmowane przez nas stanowisko (w sprawie bpa) ... było słuszne... to potwierdziła ostatecznie decyzja Ojca św., który *do błagalnych prośb wiernych przychylił się raczyt*”.

„W danym wypadku chodzi o osadzenie przy Ostrej Bramie, tem sercu Wilna i Wileńszczyzny, tak, niestety, ostatnimi czasy zaniedbanej, prawowitych jej gospodarzów, OO. Karmelitów”.

(Dz. Wil. 1925, № 179).

Z powyższych enuncjacji wynika, że endecja wileńska:

1) zniesławiała bpa Matulewicza nie tylko jako obywatela Polski, lecz praecise jako biskupa katolickiego. (Kościół dla niego—narzędziem walki politycznej, jest on pacholkiem niemieckim, wyrafinowanym obłudnikiem, paraliżuje wpływ Kościoła i kleru, sybarytą, twórcą typów bolszewickich, prowadzi wiernych ku zgorzeniu, a wiarę do upadku, podsyca niesnaski, przygotowuje kapłanów z alumnów zdyskwalifikowanych za niezdolność i uchybienie moralne);

2) zabierała głos w sprawach wewnętrznych Kościoła (wybór biskupa wbrew woli ludu i kleru, kler nie wita wojewody w sposób uroczysty i w szatach kościelnych, osadzenie prawowitych gospodarzy w Ostrej Bramie);

3) zapowiadała rozbicie jedności kościelnej (Raduń, Jody. Nb. W Jodach w maju r. b. przeprowadziłem dochodzenie, które ustaliło, że miejscowa ludność katolicka nie ma nawet pojęcia o kościele narodowym);

4) wpływała, przynajmniej ubocznie, aby kler nie słuchał biskupa (ogłoszenie przez ks. Bokszcza-nina zarządzeń biskupa nazwała misją dla każdego Polaka w najwyższym stopniu niesympatyczną);

5) w końcu ostatecznie kłamstwo najgorsze—rezygnacja bpa Matulewicza—na skutek błagalnych prośb wiernych!

Na zakończenie jeden epizod z tysiąca innych o skutkach tej akcji: na cmentarzu kościelnym proboszcz prowadzi katechizację dzieci, za tydzień ma zjechać biskup i udzielić bierzmowania. Podczas paury do tłumy bawiącej się dziatwy wpada 13-letnia dziewczynka i woła: „Biskup nie przyjedzie, naszego biskupa już niema, wrzucili go do błota, bo był niedobry”. (Fakt zaprotokółowany).

Prawdziwa trwoga mnie ogarnia o przyszłość tysięcy katolickich dusz, zatrutych przez endecję nienawiścią do byłego Pasterza.

Ks. Ant. Zienkiewicz.

Rozważania na czasie.

I

Słynne były telegramy z głównej kwatery rosyjskiej podczas wojny tureckiej w 1878 r., których motto „wsio obstoit błagopólnie” i „i jeden kozak przepadł bez wieści”—długo służyły humorystyce europejskiej jako temat rozweselający — pisma, karykatury, teatryki i teatry czerpały stąd pełną garścią. Dzisiaj niema caratu — ale czytając ciągle interwiewy polskich mężów stanu, ich artykuły w prasie, liczne odczyty i nareszcie długie mowy w Sejmie — spostrzegamy z pewnem zdziwieniem — że „leit motiv” tych wynurzeń nie wiele odbiega od urzędowych telegramów rosyjskich. Wciąż nas uspakajają i zapewniają, że... maluczko... maluczko... a nadejście okres biblijny 7 lat tłustych i złe stanie się doskonałem. Prasa podsyca ten prąd, zamieszczając wciąż telegramy i artykuły z zagranicy pełne zachwyty cudzoziemców dla polskiego przemysłu, handlu, rolnictwa, finansów, sztuki, rozumu, szlachetności i t. d.

Nieustannie uwiecznia się fotograficznie i każe podziwiać publiczności szereg większych i mniejszych dygnitarzy—wszystkie ich pozy i gesty w pojazdach, autach, konno, pieszo — jak jedzą, piszą, czytają, mówią i tak bez końca — w kółko.

W ostatnich czasach obdarzył nas p. Grabski paru mowami, z których wynika... że wszystko jest na dobrej drodze, o ile urodzaj dopisze.

P. Skrzyński przepędził w Ameryce 4 tygodnie—zdaje się, że konkretnego statmąd nic nie przywiózł—z próżnemi rękami pojechał — z pustemi wrócił — w przeciwieństwie do Mejerowicza, który po trzytygodniowej tournée po Europie przywiózł — jakby w testamencie — Łotwie pełną kieszeń umów i traktatów handlowych i zaczął tak ważny umowy polsko-litewskiej, na którym może chleb się upiecze — miejmy nadzieję, że bez zakalca.

Tymczasem rozstrój, bankructwa bezrobocie i nędza w państwie i nienawiść do polskich rządów z dnia na dzień wzrastają. We Francji mamy już przeszło pół miliona emigrantów — a kiedy nie dawno pisma przyniosły wiadomość, że do Niemiec w ciągu jednego roku wprost uciekło 100.000 ludzi bez paszportów i licznych formalności wyjazdowych—

to jest to wymowną odpowiedzią na biurokracyjne, zarozumiałe, przewlekłe i drogie wydawanie paszportów i przepustek — bo konieczności życia są silniejsze od przestarzałych formułek i przepisów krepujących obywateli w ich zupełnie słusznym dążeniu do egzystencji. Niech sobie pp. biurokraci skarbowi i administracyjni wyrachują ile skarb na tem stracił, pomijając kwestję prestige'u państwa. I doprawdy — możnaby ułożyć matematyczną formułę — im więcej mów, gestów i podróży urzędowych polityków, tem gorzej dzieje się w państwie. Wiedział to już historyk polski ks. Kalinka i kilkadziesiąt lat temu orzekł, że — „obżarstwo i gadulstwo zgubiły Polskę”. Słowa i zapewnienia mają się w odwrotnym stosunku do administracji publicznej.

Aby nie być gołosłownym pesymistą — niech posłuszny kilka przykładów ogólnych i z Wilna.

Że społeczeństwo upada pod brzemieniem podatków, to pewnik — zwłaszcza w naszym kraju, ale sposób rozkładu i ściąganie zaległości dolewa oliwy do ognia. Tak np. zajmuje się rzemieślnikowi za podatki — narzędzia zarobkowania, a przecież pozbawić szwaczkę, krawca, szewca jedynej maszyny do szycia, piekarza wagi i gwintów do sprzedaży pieczywa — czy kowala kowadła i młota — znaczy to świadomie pchnąć tych ludzi w objęcia bezrobocia i nędzy.

Pomijając już moralną stronę i wywołane rozgoryczenie, cóż skarb na tem zarabia? Przypuśćmy, że ściągnie zaległy podatek — ale na tem i koniec. Sam zasypuje źródło: ono już żywej wody nie da i na następne lata skarb z drugiej kieszeni kilkakrotną kwotę wyciśniętego podatku dołoży w formie wsparcia dla bezrobotnych i ich rodzin, ubocznie ucząc tych ludzi oglądać się na pomoc skarbu, a nie na własne siły.

Art. 974 ros. ust. post. cywil. dozwalał w braku innych przedmiotów zajmować narzędzia pracy rzemieślnika, za rządów rosyjskich wszakże artykuł istniał na papierze, ale w praktyce za podatki, nie wiem, czy znalazł zastosowanie w dużem mieście choć raz do roku, dzisiaj art. 974 to anachronizm szkodliwy podwójnie — materialnie, a jeszcze więcej moralnie.

W sprawie akcji Banku Pol. nikt by może nie dał wiary temu, że zredukowani urzędnicy, a więc ludzie biedni, bezrobotni — w czasie od 1. II. 24, t. j. w chwili zapisu na akcje w urzędach, (którzy będąc zwolnieni nie mogli już płacić miesięcznych rat), do dziś dnia nie mogą się doprosić o zwrot pieniędzy wpłaconych a conto rat — a przecież zwolnieni zostali nie ze swojej ochoty i w dniu opuszczania służby wszelkie rachunki powinny by były być wzajemnie uregulowane.

Nieraz narzekają pp. ministrowie, że społeczeństwo nie popiera poczynań rządu dla rozwoju ekonomicznego, że za mało ma energii i inicjatywy — i właśnie pewna firma holenderska poszukiwała w piśmiech wileńskich reprezentanta na okręg Wileński i Białostocki — wymaganem było wystanie pewnej kwoty naprzód na towar. Kandydat na tę posadę miał wątpliwości, czy może pieniądze firmie zawieźć, zwrócił się więc listem poleconym z d. 13. VII. 25 do konsula polskiego w Hadze z prośbą o informację co do firmy — od odpowiedzi zawisł cały interes i byt na razie kilkunastu osób. I cóż? polski obywatel czeka dotąd na odpowiedź... swego konsula — bo obcy z pewnością odpisałby odwrotną pocztą! Tak się popiera przemysł i handel krajowy

w czynie. Naturalnie na bankietach usłyszymy co innego.

Pilna przesyłka handlowa express leżała na tutejszej poczcie 6 dni, pomimo kilkakrotnego zgłoszenia się adresata i dopiero kiedy urząd pocztowy wysyłający uwiadomił firmę, że adresat nie chce przesyłki odebrać i adresat poszedł z tem pismem i przygotowaną skargą na pocztę — przesyłka zaraz się znalazła i wydano ją. Faktów takich naliczyć można kopami — są one na porządku dziennym i mogą niemi służyć.

Jakże może wzbudzić zaufanie tego rodzaju system, — bo za często powtarzające się fakty stworzyły niestety polski system rządzenia, — i czyż nie prowadzi on prościutko do katastrofy wewnętrznej i zewnętrznej?

A. Ciszewski.

Z mego notatnika.

Wątpliwość.

Nie tak dawno ukazało się na łamach „Słowa” opowiadanie jednego ze współpracowników tego pisma, który zaszedłszy do jakiejś podrzędnej knajpy i usiadłszy w kącie stał się mimowolnym świadkiem, jak jakiś młodzieniec — Żyd odczytywał na głos proklamację komunistyczną. Nie dając poznać po sobie, że fakt ten został przezeń zauważony, dzielny współpracownik „Słowa”, według jego własnych słów, „uczynił to, co każdy Polak powinien był uczynić”, t. j. udał się niezwłocznie do policji politycznej i zawiadomił ją o dokonaniem przez siebie wypadkowo odkryciu, w rezultacie czego nastąpiły rewizja i aresztowanie owego nieostrożnego czytelnika.

Nie wiem z jakich sfer się rekrutują współpracownicy „Słowa”. Nie zdziwiło by mię to wcale, gdyby się okazało, że są oni jednocześnie t. zw. konfidentami policyjnymi czyli po prostu szpiclami. Jeżeli studenci uniwersytetu a nawet podobno uczniowie gimnazjalni pozostawali na usługach defenywy, to czemuż redakcja „Słowa” nie może się składać z wywiadowców i agentów policji politycznej a nawet kryminalnej?

W obecnych czasach wszystko jest możliwe i prawdopodobne, ale dlaczego „Słowo” posuwa się do przesady, utrzymując, że każdy Polak *powinien* być denuncjantem? Mimo wszystko, twierdzą kategorycznie, że znam cały szereg niewątpliwych Polaków, którzyby w żadnym razie nie dopuścili się podobnego czynu, chociaż wielu z nich, być może, zareagowało by w ten lub inny sposób bezpośrednio na miejscu. Jakże niewysokiego zdania jest „Słowo” o swych rodakach, mniemając, że każdy z nich jest zdolny do denuncjacji!

Nie jest wykluczonem wszakże, że ubliżającej tej dla narodu polskiego opinii swego współpracownika redakcja „Słowa” nie podziela, mimo, iż zamieściła ją bez żadnych zastrzeżeń. W ostatnich czasach bowiem zdarzało się kilkakrotnie, że nawet swych artykułów wstępnych musiała redakcja „Słowa” się następnie wypierać lub je niezgrabnie prostować. Tak było z wywiadem po ustąpieniu biskupa Matulewicza, tak było z artykułem na temat stosunków polsko-niemieckich p. Wł. Studnickiego, tak było z referatem p. Smreczyńskiego o Białorusinach w Łotwie.

Byłoby interesującym wiedzieć napewno, jakimi są poglądy redakcyjne w tej kwestji.

O, rękę karaj, nie ślepy miecz!

W nr. 193 „Dziennika Wileńskiego“ przyznał się p. Jan Obst, że on to ukrywał się pod literami X. Y. Z. jako autor szkalujących biskupa Matulewicza korespondencji w „Gazecie Warszawskiej“. Do tego wynurzenia popchnęło go posądzenie „Przeglądu Katolickiego“, iż owym korespondentem jest osoba duchowna. Z tej racji p. Obst wystosował list wyjaśniający do redaktora „Przeglądu Katolickiego“ ks. Kłopotowskiego, ale ks. redaktor potraktował dość pogardliwie swego kolegę po fachu, zarzucając mu, że podstępnie podszywa się pod inicjały księdza, co może usprawiedliwić jedynie okoliczność, iż „pisuje częściej konjankiem niż atramentem“.

Wzmianka o konjaku głęboko zadrasnęła p. Obsta. Mniejsza o aluzję do alkoholu, ten defekt p. redaktora jest ogólnie znany, ale konjaki! Posądzać prezesa „Ligi Robotniczej“ o taką rozrzutność, o takie wyrafinowanie! To też dotknięty do żywego p. Obst nie szczędzi zjadliwych przytyków ks. Kłopotowskiemu, wyrzucając mu ze swej strony, że nie posiadając pewnych dowodów rzuca insynuacje na własnych konfratrów w Chrystusie.

Jednakże ks. Kłopotowski nie był dalekim od prawdy, posądzając o autorstwo korespondencji do „Gazety Warszawskiej“ osobą duchowną. Pisał wprawdzie p. Obst, ale kto go inspirował? Kto mu udzielał informacji ze stosunków kościelnych, z których korespondent urabiał broń przeciwko biskupowi Matulewiczowi? W czym interesie prowadził swą systematyczną i wytrwałą kampanję p. X. Y. Z.? Nikt przecież, kto zna p. Obsta, nie będzie go posądzał, że czynił to pro publico bono!

Oczywiście za plecami p. Obsta stała ta część kleru wileńskiego, której solą w oku była osoba biskupa Matulewicza, która nie mogła przetrwać, że inny duch powiał po diecezji, że skończyły się rządy księży Lubiańców i Maciejewiczów.

P. Obst był tylko posłusznym narzędziem w jego rękę i dlatego może obrał taki enigmatyczny pseudonim X. Y. Z. „Przegląd Katolicki“ miał zupełną słuszność, przypuszczając, że pierwsza litera pseudonimu posiada znaczenie ogólniejsze.

Licz.

Piszą do nas.

Wiecznie to samo.

W niedzielę 23 sierpnia dziekan wołkowyski ks. kan. Bolesław Sperski po mszy rannej i po sumie powiadomił parafjan, „że biskup J. Matulewicz, który już nie jest biskupem wileńskim, podał był projekt podziału diecezji wileńskiej, którego skutkiem będzie przyłączenie powiatu wołkowyskiego do diecezji pińskiej“. Dalej objaśniał ks. kanonik sprawę w ten mniej więcej sposób: ponieważ takie oddzielenie powiatu oderwałoby nas od Wilna, Ostrej Bramy, Kalwarji i pamiątek po naszych ukochanych wieszczach, Adamie Mickiewiczu, Juljuszu Słowackim i in., przeto trzeba składać podania do rządu i do komitetu biskupiego w Warszawie, aby do tego nie dopuścić. — Potem przeczytał ks. Sperski podanie, w którym między innymi jest zaznaczone, że przyłączenia do diecezji pińskiej wołkowyszczanie obawiają się i dlatego jeszcze, że stamtąd mogłaby się szerzyć agitacja przeciw ukochanej od wieków (sic) przez nich mowie polskiej... Wreszcie zachęcał wszyst-

kich, kto umie pisać i kto nie umie, do podpisania tych podań.

Oczywiście podpisów nie zbraknie. Ze stanowiska osoby postronnej, nic nie można zarzucić chęci pozostania przy Wilnie, z którym łączy np. łatwa komunikacja, gdy tymczasem do Pińska jadąc trzeba przesiadać aż w paru miejscach. Z jedną atoli rzeczą nie mogę się zgodzić, to z przypisaniem projektu podziału diecezji biskupowi Matulewiczowi, wtedy gdy do niedawna projekt ten popierała endecja warszawska, do której ks. kanonik Sperski należy duszą i ciałem. Powiedziano też w podaniu, że podział diecezji zwłaszcza włączenie Wołkowyska byłoby krajaniem (sic) żywego ciała Polski (?) czyli nowym podziałem Polski... Księżę kanoniku, czy tych, których namawiasz do podpisywania i tycn, do kogo podanie ma być skierowane, uważasz za dzieci naiwne? Czy może sam już w piętke gonisz? Bo doprawdy przez przyłączenie powiatu wołkowyskiego do Pińska ani krajania żadnego Polski nie będzie, ani też nie zagrozi się drogi do Ostrej Bramy, Kalwarji i miejsc pamiątkowych po wieszczach naszych. Diecezja pińska nie leży przecież po za granicami Polski! Jeżeli jest komu to nie wygodne, to chyba tylko duchowieństwu, które musi niekiedy bywać u biskupa, a wygodniej mu do Wilna niż do Pińska. Co się zaś tyczy wiernych, zwłaszcza tych prostaczków, którzy położą podpisy pod temi podaniami tak dobrze jak i pod temi, które im do wsi przyniesie kto inny, — to tym ludziom doprawdy zupełnie obojętne, czy ich biskup żyje w Wilnie, które mało kto z nich wiedział, czy też w Pińsku. Zresztą można robić starania i składać podania, ale służąc w kapłaństwie Temu, który jest prawdą, należy operować *tylko* prawdą, tembardziej, że to wcale nie jest rzeczą trudną.

Przejezdny.

KRONIKA.

Szczyt „nachalstwa“. Nie wiedząc, jak jeszcze ugryźć nienawistnego mu biskupa Matulewicza „Dziennik Wileński“ zaalarmował opinię publiczną, donosząc, że po wyjeździe biskupa została wywieziona do Kowna jego biblioteka, zawierająca sporo cennych dzieł, między innymi jakieś „księgi kościelne“. Z tego powodu „Dz. Wil.“ wyrzuca władzom niedbalstwo, że nie dopilnowały, by „dobytek polski“ nie był wywożony zagranicę.

Język polski nie posiada dosadnego wyrazu na określenie podobnych wystąpień. Natomiast w języku rosyjskim istnieje odpowiedni termin: „nachalstwo“. Otóż szczytem „nachalstwa“ jest rościć pretensję, że ktoś wyjeżdżając zabiera ze sobą swoją własność. Informacje przytem są najzupełniej fałszywe. Biblioteka została wywieziona nie do Kowna, lecz do Marjampola, ponieważ była gromadzona przez kapelana ks. biskupa dla klasztoru marjanów, istniejącego w tem mieście. Nie jest to żaden dobytek polski, lecz litewski, gdyż księgozbiór pochodził niemal bez wyjątku z terenu Litwy. Co się tyczy owych zagadkowych „ksiąg kościelnych“ — to trudno zrozumieć i zapewne sama redakcja nie rozumie tego określenia.

Także znawca! P. Nowaczyński wsiadłszy obecnie na konika litewskiego jedzie na nim bez opamiętania, wypisując sążniste artykuły o Kownie, państwie litewskiem, kulturze litewskiej, w których niewiadomo co więcej podziwiać: aplomb pisarski czy ignorancję? Wystarczy dla przykładu taki ustęp: „Zapomnieli Litwini, o tem, że pierwsi polscy biskupi i kanonicy odgrzebywali z pod ruin, popiołów i zgłiszcz pierwociny kultury i tradycji litewskiej, zapomnieli co dla odrodzenia narodowego litewskiego dokonali i dowolali biskupi: Baranowski, Wołonczewski, Giedrojc, księża Jucewicz, Kojalowicz, Wienazyński, Bohusz, Niezabytowski“.

Ostatecznie może się spierać, czy Jucewicz i Kojalowicz byli Litwinami spolszczonymi czy Polakami pochodzenia

litewskiego, ale zaliczać do Polaków biskupów Baranowskiego i Wołoncewskiego — to już zakrawa na drwiny... z czytelników „Gazety Warszawskiej”. Niedosć jest zwiedzić Kowno i wypić „stakańczyk rebinowki” (?), by stać się znawcą dzieł literatury litewskiej.

Bezprawne zarządzanie. Kuratorjum Okręgu Szkolnego opracowało plan wykładów gimnazjalnych zaznaczając, iż wykłady geografii ogólnej i ogólnej historii w gimnazjach mniejszości narodowych winny się odbywać w języku polskim — zgodnie z okólnikiem ministra oświaty, St. Grabskiego.

Zaznaczając ten fakt, „Życie Białorusi” dodaje: „Okólnik p. Grabskiego, jako nie oparty na prawie i wyraźnie sprzeczny z ustawą językową z dn. 31 lipca 1924 r., jest zarządzaniem nielegalnym i należy przypuszczać, że wszystkie szkoły mniejszości narodowych, których prawa p. Grabski chce ograniczyć, potrafią znaleźć drogę do anulowania bezprawnych wymagań. Lecz okólnik sam przez się będzie doskonałym przykładem tego, jak panowie ministrowie pozwalają sobie zupełnie się nie liczyć z panującym prawem, o ile chodzi o ograniczenie praw „inorodców”.

„Życie Ludu” zaś donosi, że wszystkie zainteresowane organizacje szkolne litewskie, białoruskie i żydowskie skierowały skargę do Najwyższego Trybunału Administracyjnego i powiadomiły Kuratorjum, iż do chwili otrzymania decyzji wykłady historii i geografii powszechnej prowadzone będą w tym samym języku, co i w roku ubiegłym.

Sprawa mniejszości narodowych w Litwie na forum Ligi Narodów. W d. 4 b. m. na publicznym posiedzeniu Ligi Narodów rozpatrywano sprawę mniejszości narodowych w Litwie.

Referent tej sprawy delegat brazylijski Mello Franco przedstawił raport, komunikujący, że rząd litewski złożył szereg nowych oświadczeń i zobowiązań, które czynią zadość poszczególnym punktom skarg mniejszości.

1) Rezolucja sejmowa o niedopuszczaniu mniejszości do

komisji musi być rozumiana, jako odnosząca się do mniejszości parlamentarnych, a nie narodowych. 2) Macierzysty język uczniów, mających wstąpić do szkół mniejszościowych, ma być określony przez rodziców. 3) Ustawa o wykluczeniu języków mniejszości z szyldów i napisów została zmieniona przez dekret z dnia 23 lipca 1925 roku. 4) Rozporządzenie o wprowadzeniu ksiąg handlowych w języku litewskim, dotyczy tylko trzech głównych ksiąg w dużych domach handlowych i przemysłowych, nie dotyczy zaś drobnego handlu. 5) Wyjaśnienie litewskie dotyczące sprawy rolnej, a mianowicie co do rozdziału wywłaszczonej ziemi pomiędzy sąsiadów rolników, niezależnie od ich narodowości, oraz co do przeznaczenia wywłaszczonych lasów na cele użyteczności publicznej zostały przyjęte do wiadomości przez Radę. 6) Rząd litewski wniósł do Sejmu ustawę wprowadzającą proporcjonalność podziału długów hipotecznych, ciężących na ziemiach.

W konkluzji raport zaleca przyjęcie do wiadomości oświadczenia rządu litewskiego. Rada zatwierdziła raport Mello Franca.

Represje prasowe. Nie ustają prześladowania prasy litewskiej i białoruskiej. Ostatnio zostały zawieszono „Vilniaus Aidas” oraz „Krynica”, pozatem uległ konfiskacie szereg numerów pism litewskich i białoruskich.

Krótki żywot Po wydaniu kilkunastu numerów, coraz to szczuplejszych „Tygodnik Wileński”, subsydjowany na razie przez Delegaturę Rządu, którego powstanie było tak szumnie reklamowane i wywołało ostre ataki w prasie wileńskiej — został ostatecznie zwinięty, redaktor zaś Hulewicz, bodaj ostatecznie pożegnał Wilno. Było to do przewidzenia, po co więc było marnować pieniądze rządowe na tego rodzaju efemerydy?

Delegacja litewska na jubileusz. W początkach września wyjechała z Kowna do Petersburga vel Leningradu delegacja uniwersytetu kowieńskiego, która weźmie udział w uroczystościach z powodu 200-lecia Petersburskiej Akademii Nauk. W skład delegacji weszli profesorowie M. Birzyszka, Bagdońas i Szymkus.

NAKLADEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO WYSZŁA Z DRUKU

W OGRANICZONEJ LICZBIE EGZEMPLARZY

MONOGRAFJA

LUDWIKA ABRAMOWICZA

P. T.

CZTERY WIEKI DRUKARSTWA W WILNIE 1525 — 1925

DO NABYCIA W ADMINISTRACJI „PRZEGLĄDU WILEŃSKIEGO”
ORAZ WE WSZYSTKICH ZNACZNIEJSZYCH KSIĘGARNIACH

CENA 9 ZŁ., NA PAPIERZE KREDOWYM 13 ZŁ.

Treść numeru: Konferencja w Kopenhadze — *Dryhwicz*. Ewolucja czy błąkanie poomacku? — *K. Skirmuntt*. Parę słów wytłumaczenia. — *Ks. A. Zienkiewicz*. Dowody. — *A. Ciszewski*. Rozważania na czasie. — *Licz.* Z mego notatnika. — *Przejezdny*. Zawsze to samo. — Kronika.